Rok 1898. Lwów, dnia 4. kwietnia. Nr. 14.

ECHO LITERACKIE

Dodatek tygodniowy „Dziennika Polskiego"

Redaktor: Izydor Kuncewicz.

METAFRAZA

z dramatu prozą Maurycego Maeterlincka p. t. „Aglawena i Selyzeta"

AKT II, SCENA I.

Ustroń w parku zamkowym.

AGLAWENA I MELEANDER.

MELEANDER

Siedem dni — doba, spłynęły za dobą,
Odkąd żyjemy pod dachem tym z sobą —
A we mnie dziwem myśl sama się pleni,
Żeśmy nie w jednej kołysce zrodzeni,
Bo zda się nigdy rozstania nie znałem
I pierwej ciebie, niż siebie przejrzałem...
Ty jesteś dla mnie przedwiecznym szelestem,
Poprzedzającym to wszystko, czem jestem...
Jaśniej, niż własną duszę, czuję twoję,
Bliższąś mi, niźli to we mnie, czem roję —
I gdyby kto mi w tym szczęścia rozkwicie
Wyrzekł: ratować masz własne swe życie —
Twoje bym musiał ratować jedynie,
Bym chwilkę przeżyć mógł, zanim upłynie.
Ani mi widzieć, ni odnaleść siebie,
Ani odśmiechnąć w innem szczęścia niebie,
Ani ukochać w piękniejszej ozdobie
Samego siebie — prócz w tobie, prócz w tobie...
Więc mi się zdaje czasami — tuż blisko,
Że wszystko we mnie zmieniło siedlisko,
I że cząstkę mej własnej istoty
Z innego świata, z piękniejszego bytu,
Tulę do serca, jak jaki sen złoty,
Gdy tulę ciebie ze łzami zachwytu...

AGLAWENA

I ja to samo czuję w całej krasie —
Bo gdy cię pieszczę, w błogości tej zda się,
Że siebie pieszczę na wdzięczną wymianę,
Kiedy piękniejszą i lepszą się stanę...
Przy twojej duszy słyszę tylko własną
Bez ciebie — wszystkie moje blaski gasną —
Gdy poszukuję siebie poza sobą,
W tobie jedynie znajduję, jak zgubę,
I wzamian czuję ciebie, światło lube,
Ilekroć szukam za własną osobą.
Więc prawie nie wiem za uciech tych zdrojem,
Czyś ty jasnością, czym ja światłem twojem...
Trudno mi pojąć, złoty wiążąc wątek,
Gdzie i czyj koniec, gdzie i czyj początek...
Każdym uśmiechem — milczeniem — odruchem
Wiążesz mnie z nowym piękności łańcuchem —
I czuję, czucia unosząc błękitne,
Że, jak ty we mnie, tak ja w tobie kwitnę —
I że, jak cudna i trwała wciąż władza,
Jedno wciąż w drugiem żyjąc, się odradza.

MELEANDER

Jedna rzecz chyba — co nasze istnienie
Rozłącza jeszcze: to nasze zdumienie.

AGLAWENA

O! tak! dniem — nocą zdumiewam się prawie
Że taki piękny istniejesz na jawie.

MELEANDER

Ja też, o droga! w tem szczęścia przezroczu
Już mi nie dosyć rąk, uszu i oczu,
Bo gdy cię widzę, gdy słucham szczebiotów,
Że śnię, że marzę — przysiądz byłbym gotów,
A gdy mi znikniesz z przed oczu na chwilę,
Że — kiedyś śniłem, a teraz się mylę...

Zbliżam się do cię — i jeszcze mi trudno
Wierzyć, czy nie jest to wizją ułudną...
Już widzę, słyszę, całuję — znów oto
Ze szczęścia chciałbym z zerwaną pieszczotą
Lecieć i duchów posiadać rozwiewność,
By tę szczęśliwą odnaleźć gdzieś pewność...

AGLAWENA

A ja, kochany, gdyś przy mnie i zblizka,
Jak senbym chciała oddalić się chyży,
By widzieć ciebie i mieć jaknajbliżej —
Gdym sama, gdy mnie rozłąka uciska...
A kiedym sama, to szukam cię wszędzie,
Bo wiem, że dusza twa, pełnią świetlaną
Stokroć piękniejsza, niż wyśnić mi dano,
Czeka, i o mnie tęczowe sny przędzie...
To też już nie wiem iście, co potrzeba
Czynić w pośrodku radości tej nieba,
Bo tak mnie ono kwieciście okrywa,
Żem już ze szczęścia prawie nieszczęśliwa.

MELEANDER

Ach! gdzieżeś była przez wszystkie te lata,
Żem nie przypuszczał istnienia śród świata
Tego, co z szczęściem takiem mi się chyli?..

AGLAWENA

Toż myślę właśnie o tobie w tej chwili,
Bo serca nasze już pierwej rozmowę
Wiodą, nim usta obwieścić gotowe...

MELEANDER

Jednak — gdy mówisz do mnie, duszę własną
Zda się raz pierwszy słyszę całkiem jasno.

AGLAWENA

I ja — gdy głos twój lubą ciszę wzruszy,
Harmonją własnej napawam się duszy,
A kiedy milkną me usta wzruszone,
W twej duszy cała zasłuchana tonę...
Więc oto w szczęściu, co zmysły tak poi,
Już nie odróżnię mej duszy od twojej,
Bo choć wysyłam wszystkie czucia skore,
Próżno — gdy jednę za drugą wciąż biorę...

MELEANDER

Bóg się pomylił snać najmiłościwszy,
Z jednej dwie dusze nasze utworzywszy.

AGLAWENA

Lecz ty — gdzieś bywał, za jakich słońc smugą,
Żem tu czekała samotnie tak długo?

MELEANDER

Tęskniłem do cię w obłędnej kolei.

AGLAWENA

A ja tęskniłam, nie tracąc nadziei.

MELEANDER

Któż ci tę jutrznię zwiastował, kochana?..

AGLAWENA

Nikt nie zwiastował: to było bez miana
Tą rzeczą pewną w wieczności zakresie,
O której wie się, nie wiedząc, że wie się.

MELEANDER

Lecz czyś kochała tak wiecznym mnie działem,
Jak ja nad życie, nim ciebie poznałem?..

AGLAWENA

A ty — czyś widział mnie żywą zdaleka
Jak ja wciąż ciebie, kochając od wieka?..

MELEANDER

To, co czujemy śród szczęścia ogromu,
Nie sądzę, by się zdarzyć mogło komu:
By gdzie dusz takie kwitło pokrewieństwo!

AGLAWENA

O tak! istotne to niepodobieństwo!

MELEANDER

Często rozmyślam — i oto się trwożę...

AGLAWENA

Czego, najmilszy?.. jakież niepokoje —
Gdyśmy się wreszcie znaleźli oboje?..

MELEANDER

Tego, najdroższa, że gdy szczęścia zorze
Tak widne, trzeba obawiać się nocy.
Z tego, co górne i nie w naszej mocy,
Niemasz trwożliwszej i bardziej zawiłej
Rzeczy nad szczęście, gdy przerasta siły...
Każdy całunek, każda chwila błoga
Łacno obudza nieznanego wroga...

Józef Jankowski.

Zacharjasz Topelius

(Wspomnienie literackie).

Finlandja w żałobie. W nocy z dnia 12. na 13. marca umarł Topelius. Wieść o jego śmierci nie była niespodziewaną, sędziwy starzec gasł powoli, Finlandja stopniowo przygotowywała do przyjęcia wieści o jego śmierci.

Starzec-poeta, którego ośmdziesiątą rocznicę urodzin święciła Finlandja z niezwykłą uroczystością w dniu 26. stycznia rb. pozostawił w darze krajowi, tak gorąco przez siebie ukochanemu, mnóstwo utworów poetycznych o wykwintnej formie.

Nie było ideji, do opiewania której Topelius nie byłby nastroił swej liry. Wszystko czyste, wzniosłe, do czego tak dąży ludzkość — wszystko to stanowi treść utworów zgasłego poety.

Z niezwykłą miłością opiewał piękności swego kraju rodzinnego z jego niezliczonemi jeziorami, ocienionemi wiekowemi sosnami, kraj, zamieszkały przez naród dla badania historji którego poświęcił swoje życie.

Jego opowiadania historyczne i opowiadania dla młodzieży ogrzane są miłością człowieka i przyrody, przesiąknięte szczerem ciepłem i serdecznością.

Topelius urodził się 26. stycznia 1818. r. W trzynastym roku życia wysłano go do Helsingforsu, gdzie zamieszkał u Runeberga. Wstąpiwszy w r. 1833 na uniwersytet, Topelius już w r. 1840 otrzymał stopień magistra historji. Uczeń prof. Signeusa, Topelius różnił się jednakowoż ze swoim nauczycielem w zapatrywaniach na historję Finlandji, a w r. 1845 w zbiorze *Ioukahainen* otwarcie wypowiedział wątpliwość co do tego, czy Finlandja przed r. 1809 miała swoją historję. W r. 1847 Topelius otrzymał naukowy stopień doktora historji za rozprawę o starożytnych finlandzkich obyczajach i obrzędach weselnych, a w r. 1854 zajął stanowisko nadzwyczajnego profesora historji Finlandji. W r. 1863 został mianowany profesorem zwyczajnym, a od r. 1875 do 1877 był rektorem uniwersytetu.

Pierwszą jego pracą poetyczną były „Kwiaty wrzosu“ *(Zjungblommer)*, których pierwszy tom wyszedł w r. 1845. W ślad za tem ukazały się „Pieśni Sylwji“ *(Sylvias visor)*. I jedne i drugie przeniknięte są niezwykłą serdecznością, miękkością. Występuje w nich Topelius jako doskonały liryk. „Głosy skowronka“ *(Lärkröster)* i „Daj mi żyć choć trochę jeszcze“, swym charakterem zbliżają Topeliusa do naszego Asnyka. W porównaniu z miękkością i doskonałością formy artystycznej Topeliusa, twórczość Runeberga wydaje się jakby suchą i zimną: nastrój duchowy ucieleśnia się u Topeliusa bogaciej i żywiej.

Miłość, opiewana przez Topeliusa, rozwija się tylko do stopnia czułego osłabienia, kończącego się potrzebą złożenia ofiary ze wszystkiego dla tej osoby, którą się kocha. Szczególnie rozwiniętem jest u Topeliusa pojmowanie istoty duszy kobiecej, uczuć młodej matki, bogatych w ukryte nadzieje i rozkosze, a zwłaszcza najdelikatniejszych odcieni myśli i uczuć młodego dziewczęcia.

Wiedział on doskonale, iż posiada umiejętność wyrażania tych odcieni i dlatego pierwszy tom swych „Kwiatów wrzosu“ poświęcił dziewczętom finlandzkim, które zawsze przysłuchiwały się uważnie głosowi swego poety. Artystyczna kobiecość, właściwa wszystkim poetycznym utworom Topeliusa wyraża się w niezwykłej czystości, łagodności i delikatności uczuć, w duchu zaparcia się siebie i poświęcenia.

Wiedziony przez poezję ludową i badania historyczne, Topelius już w początkach swej działalności poetyckiej jako główny przedmiot swych pieśni wybrał ojczyznę.

Każde tchnienie życia znajdowało odgłos w wrażliwem sercu poety. Wiosna, jego najulubieńsza pora roku, budziła w nim uśpione marzenia, a najlepsze jego wiersze, opisujące przyrodę, odnoszą się do tej pory roku. Ani u jednego z poetów fińskich nastrój, wywołany przez przyrodę, nie wyraża się w takiej bezgranicznej różnorodności barw, jak właśnie u Topeliusa. Zachwyt jest u niego przesiąknięty takim entuzjazmem religijnym („Pas Oriona“, „Droga mleczna“), że poeta nawet w sercu wilka słyszy głos Boga, powstrzymujący to drapieżne zwierzę od rozszarpania dzieciny, która wyszła w noc Bożego Narodzenia popatrzyć się na gwiazdkę, przewodniczkę trzech króli. („Boże Narodzenie na puszczy“ — *Odemarkens Jul)*.

Około r. 1850 zauważyć się daje zwrot w twórczości Topeliusa. W miarę tego, jak natchnienie traciło swą bezpośredniość, miejsce jego zajmowało myślenie.

Poczucie cnoty przyobleka się u niego z biegiem czasu w formę religijnego mistycyzmu.

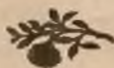
Zmiana to pod wpływem pracy nad projektem nowego modlitewnika. Już w „Nocy wrześniowej“ w r. 1867 wyobraża on mróz jako karę, zesłaną przez Stwórcę na ziemię za niedowiarstwo, próżność i grzechy człowieka. I w późniejszych jego wierszach najgłębsze wrażenie wywierają ustępy o nastroju religijnym. („Huczy dzwon na brzegu Rojne“).

W jesieni 1851 r. zaczął Topelius drukować p. t. „Opowiadania felczera“ szereg powieści z historji szwedzko-fińskiej, w których opisuje ważniejsze chwile z historji Finlandji, aż do czasu przewrotu, dokonanego przez Gustawa III. w r. 1772. Opowiada o wojnach z Polską i z Danją, o czasach oligarchji, o sądach nad wiedźmami, o zabraniu na skarb majątków szlacheckich, o czynach Karola XII., o okropnościach wielkiej wojny północnej, o okresie nowego rozwoju, o walce stronnictw w epoce wolności, o stanie nauki za czasów Linneusza, o wolnomyślności, zabobonach i zbudzeniu się religijności. Bogaty ten materjał opracowuje poeta epizodycznie w krótkich samoistnych scenach, tworzących w całości oddzielne powiastki. Dzięki sumiennemu badaniu źródeł, Topelius zbogaca swoje opowiadania rysami charakterystycznymi, które im nądają niezwykłą jasność. Bogactwo treści w związku z wiernem odczuciem faktów historycznych, nadaje tym opowiadaniom porywającą żywotność. Autor, nie ograniczając się jedynie na zewnętrznem spisywaniu przyrody, ludzi i wypadków, zwraca głównie uwagę na ideje przewodnie ówczesnych czasów i uczucia osób działających. Potoczystość stylu i bogactwo spotykanych, tak w opisie warunków miejscowych, jak i w charakterystyce danego okresu żartobliwych i dowcipnych porównań, czynią „Opowiadania felczera“ niezwykle zajmującemi.

Jednym z głównych przedmiotów natchnienia dla Topeliusa jest prócz kobiety także dziecko. Podobnie jak Andersen pisywał i on bajki — aczkolwiek nie tak głębokie treścią, ale niemniej przesiąknięte ogromnem zrozumieniem przyrody. Jako materyał do bajek służyły mu podania ludowe, historja, życie codzienne, a w szczególności przyroda, ten bogaty skarbiec ideji artystycznych i obrazów poety.

W jednym z najbliższych numerów „*Echa*“ postaramy się dać naszym czytelnikom próbkę z twórczej działalności Topeliusa.

A. J.



ALEKSANDER KIELLAND

POD SZTANDAREM PRACY.

Powieść.

(Przekład z norweskiego).

Ciąg dalszy.

— Ach! Nie możesz pani wydawać sądu o sympatjach lub antypatjach mego brata, ma on pod każdym względem gust barokowy. Wiedzą panie naprzykład, jak wygląda jego ideał kobiety?

— Nie! Powiedz nam pan to, powiedz nam pan! — wołano ze wszystkich stron.

— Alfredzie! — zawołał doktor.

— Najpierw, musi być trzy i pół łokcia wysoką, bez obcasów...

Panie zaśmiały się i klasnęły w ręce, Hilda jednak zrozumiała, do czego to zmierza.

— Alfredzie — prosiła półgłosem — nie rób tego!

On jednak ciągnął dalej:

— Potem musi mieć pałąco-czerwone włosy, rozczochrane jak grzywa końska; musi mieć w sobie chłopską krew i pachnieć stajnią...

— Alfredzie, Alfredzie — zawołała matka, napół żartem na pół serjo.

— Ach, teraz wiem! — zawołała Zofja — to Krystyna, ta wielka Krystyna na dole w pokoju portjera, wszak prawda?

Doktór postawił filiżankę tak silnie, że zadźwięczała.

— Nie zdradzam tajemnic sercowych mego brata — rzekł Alfred.

— Powiedz mi pan, czy ta nowa przyjaciółka Hildy, to Krystyna? — zapytała Zofja i pochyliła się ku niemu.

Oszołomiony tem, że mu się tak szczęściło, ciągnął Alfred dalej:

— Tak, to cały romans, zapewniam panie. Wysoko urodzony zakochany, prosta, ale nadzwyczaj cnotliwa wiejska dziewczyna, siostra, jako zaufana przyjaciółka...

— Alfredzie! — zawołał Jan takim tonem, że wszyscy zadrżeli.

— Ależ nie, Janie! — rzekła teraz pani Bennechen — jak ty się zachowujesz! Muszę cię prosić...

— Tak matko, powiedziałem mu już dawniej; czegoś podobnego nie zniosę dłużej! — rzekł doktor gwałtownie i tupnął nogą.

— Mamo, — zawołał Alfred — czy to było tą krótką, czy tą długą nogą?

Jan zrobił krok ku drzwiom, powstrzymała go jednak matka:

— Ależ Janie! Co ci się dzisiaj stało? Pfe, wstydź się że nie możesz znieść niewinnego żartu. Jeżeli chcesz tylko wzniecać niepokój, to lepiejby było, abyś nie był przychodził wcale. Było nam tak przyjemnie, zanim przyszedłeś.

Jan poszedł; ale było tak, jak powiedziała pani Bennechen: zepsuł wszystkim humory. Panie szeptały między sobą po dwie i nawet Alfred nie mógł doprowadzić do dawnej wesołości.

Gdy wieczorem kładziono się spać, opowiadała pani Bennechen swemu mężowi o scenie, jaka nastąpiła między braćmi. W mgnieniu oka zwaliła całą winę na Jana i wystawiła scenę jeszcze gwałtowniej niż była w rzeczywistości.

— Czy nie wydaje ci się teraz, że jest najwyższy czas, aby ta dziewczyna stąd sobie poszła? — zakończyła.

— Przyznaję, że to wygląda dziwnie — odparł — ale jeżeli rzecz w istocie tak daleko się posunęła, to obawiam się, iż na nie wiele to się przyda, jeżeli sobie pojedzie. Wobec takiej natury jak Jan, to przeszkody rozpalą go tylko jeszcze więcej, a tego właśnie się obawiam; szukałby jej i znalazł — a wtedy, mogłoby być może gorzej niż jest teraz.

— Tak, to właśnie to, o czem mówiłam oddawna — jęczała — ale ty nigdy nie chcesz słuchać mojej rady; zawsze musisz...

— Tylko spokojnie, tylko spokojnie, kochana Adelajdo! Widzisz, skoro jej się nie można pozbyć, to... to... — i zrobił małą dyplomatyczną pauzę.

— Co: to? — zapytała.

— A więc dobrze: wyślemy jego w świat.

W takich małych niespodziankach był minister mistrzem; pani ministrowa spojrzała na niego:

— No, wiesz co, Danielu — to możeby nie było takie głupie... Może...

— Tylko spokojnie, jak powiadam, kochana Adelajdo; wtedy znajdzie się zawsze jakieś wyjście. Wiesz, jak chętnie chciał Jan udać się w zeszłym roku do Wiednia. Teraz może pojechać.

— I pozostać tam długo...

— Przynajmniej przez rok, jeżeli to ma być korzystnem dla niego pod względem naukowym.

— Pod względem naukowym! Doskonały dowcip — rzekła żartobliwie pani Bennechen. Spadł jej kamień z serca.

Zanim się jednak położyli spać, musiał minister złożyć uroczyste przyrzeczenie, że natychmiast po wyjeździe Jana zmusi Andersa do wysłania Krystyny, tak żeby mogła zupełnie zniknąć i być zapomnianą, gdy Jan powróci z zagranicy.

XI.

Doktor Bennechen miał wyjechać w kwietniu. Gdy ojciec zawiadomił go o tem, że mógłby teraz otrzymać pozwolenie na podróż, był tem tak ucieszony, że z początku prawie zapomniał, z jaką trudnością mu to przyjdzie — być na tak długi czas zdala od Krystyny.

Jeszcze mniej zastanawiał się doktor nad przyczynami, które doprowadziły do udzielenia mu pozwolenia na podróż, wydającą mu się wielką łaską.

Gdy Jan zdał egzamin, miał ogromną ochotę przepędzić chociaż rok za granicą. Ojciec jego uważał jednak, iż będzie to rzecz za kosztowna, a pani Bennechen mówiła wprost i otwarcie, że byłoby śmiesznem, gdyby on, złożywszy egzamin średni, z numerem drugim, jechał za granicę.

To doprowadziło Jana do tego, iż wybił sobie z głowy wszystkie myśli o podróży; teraz, gdy otrzymał „pozwolenie", był przepełniony tylko wdzięcznością, a nie przychodziło mu

na myśl, że przecież był panem samego siebie i mógł z własnej kieszeni opędzić koszta podróży.

Im więcej jednak zbliżał się dzień odjazdu, tem stawał się niespokojniejszym. Było tyle rzeczy, które musiał opowiedzieć Krystynie zanim się uda w podróż. Najpierw chciał jej w ten lub ów sposób dać do poznania, jak wysoko ją ceni, a potem chciał ją prosić — tak, chciał — aby o nim myślała gdy go nie będzie.

Była to myśl dobra — tak mu się przynajmniej zdawało. Tyle przecież można było powiedzieć w kilku słowach. I doktor ćwiczył się, piłując ciągle i zmieniając jedno zdanie: „Gdybyś pani chciała“ — albo: „Gdybyś pani chciała być tak łaskawą“ — albo też: „Gdybym wiedział, że pani będziesz tak łaskawą i będziesz o mnie trochę myślała“... ale — czy miał powiedzieć: „trochę“, czy też ośmielić się i powiedzieć: „wiele“ albo też „często“?

I jeszcze coś musiało być powiedzianem. Chciał ją ostrzedz przed Alfredem. To była właśnie okoliczność, która go największą przejmowała zgrozą: pozostawić ją samą z Alfredem. Znał, ba, podziwiał nawet zręczność swego brata i wyobrażał sobie, z jaką łatwością taka niedoświadczona dziewczyna jak Krystyna wpaść może w jego sidła dzięki jego uprzejmości.

Alfredowi przecież nie można było wierzyć, o tem wiedział; było jego obowiązkiem, poprostu obowiązkiem ostrzedz Krystynę.

Było jednak tak trudno znaleść jakąś sposobność. Kilka razy w ostatnich dniach przed wyjazdem przechodził pod jej oknami lub przez sień, nie mogąc się odważyć na zejście tych kilku schodów na dół. Dwa razy spotkał ją; coś go jednak tak ścisnęło za serce, że niemal był zadowolony, iż przeszła obok niego milcząca. Nie wyglądała też wcale na to, jakby go chciała zachęcać.

Tak rzeczy stały aż do dnia odjazdu. Teraz musiało się stać; ale odroczył to wszystko jeszcze raz, stojąc już w sieni. Chciał najpierw pożegnać się na górze.

Jan był tak daleco nieprzytomnym, że wszyscy wyśmiewali się z niego. Tylko Hilda płakała i przyrzekała mu, że często do niego pisywać będzie.

Gdy Jan zszedł tych parę schodów na dół do Krystyny, kręciło się wszystko dokoła niego, tak, że niemal chwiejąc się, wszedł do pokoju dziewczyny. Na szczęście nie było nikogo; Krystyna jednakowoż natychmiast wyszła z kuchni, aby zobaczyć, kto przyszedł.

— To tylko ja — szepnął doktor — potknąłem się cokolwiek; odjeżdżam teraz...

Tak, Krystyna o tem już słyszała.

— Przyszedłem tylko, aby się z panią pożegnać!

Krystyna otarła prawą rękę o fartuch.

— Tak, chciałem panią prosić...

Wszystkie odmiany ważnego zdania przebiegły tak szybko przez jego umysł, że nie udało mu się schwycić ani jednego.

Krystyna mimowali musiała się uśmiechnąć.

To mu dodało odwagi.

— Chciałem panią prosić, bardzo prosić, abyś pani trochę myślała o mnie, gdy mnie tu nie będzie...

Zaczerwienił się jak burak. Byłby to chętnie powtórzył raz jeszcze, aby się lepiej uwydatniło, ale wydało mu się to mdłem.

Krystyna zaczerwieniła się także; spoglądała w ziemię, ale uśmiechała się przytem.

Doktor zgłupiał kompletnie.

— A potem, chciałem powiedzieć, abyś się strzegła Alfreda...

Tego jednak Jan Bennechen nie powinien był uczynić. Zaledwie bowiem wymówił te słowa, Krystyna wyprostowała się, postąpiła krok naprzód i zapytała:

— Co rozumiesz przez to?

Mówiła swym rodzinnym djalektem, a gdy spojrzał jej w twarz, cofnął się i wyjąkał:

— Tak, przepraszam panią, ja... ja sądziłem tylko...

— Troszczę się sama o siebie — rzekła Krystyna surowo.

— Ależ to nie było powiedziane w tej myśli. Bądź zdrowa!

Jan wybiegł na schody.

Gdy wyszedł, rzuciła się Krystyna na łóżko i zapłakała gorzko, że i on mógł o niej tak źle myśleć.

W mózgu biednego doktora kotłowało się, tysiączne myśli przewalały mu się przez głowę. W końcu wyobraził sobie, iż Krystyna zakochana jest w Alfredzie.

Służący, który miał odwieźć jego rzeczy, nie otrzymał na żadne zapytanie stanowczej odpowiedzi. Kilku przyjaciół przyszło się z nim pożegnać; napił się z nimi wina, mówił bez związku i spoglądał to na jednego to na drugiego, jakby się o coś chciał zapytać; nie powiedział jednak w końcu nic, podczas gdy przyjaciele drwili z niego i mówili, że cierpi na ostrą gorączkę podróżniczą.

Pojechał.

W klika tygodni potem minister uległ niemym wyrzutom, które czytał co dnia w oczach swej żony i znalazłszy się pewnego poranku sam na sam w biurze z Andersem rzekł do niego:

— Twoja bratanica jednakowoż musi pojechać sobie stąd!

— Bardzo mi to przykro, panie ministrze, ale. .

— Powiedzno mi pan raz nareszcie, Mo, dlaczego chcesz ją pan zatrzymać koniecznie?

— Widzi pan, panie ministrze, przez całe moje życie byłem zawsze samotny...

Minister zrozumiał nagle; spojrzał na małego uśmiechniętego człowieczka i rzekł niechętnie:

— Ależ nie, Mo, cóż to sobie myślisz właściwie? W twoim wieku... a prócz tego...

— A prócz tego... panie ministrze? — zapytał Mo i spojrzał z ukosa.

— Tak, to bardzo nieprzyjemna historja; ale skoro sam się pytasz, to przecież byłeś już kilka razy... hm... trochę... cokolwiek... chory, Mo!

— Tylko raz. Drugi raz to była róża w twarzy.

— Dobrze; nie chciałbym się mięszać w twoje sprawy, ale zdaje mi się, że mógłbyś tę dziewczynę wyprawić stąd skoro cię o to proszę.

— Niech pan minister nie wątpi ani na chwilę o mej wierności i mem bezwarunkowem posłuszeństwie — odparł Anders Mo i skłonił się głęboko — sądzę jednak, iż sam pan wie, doskonale wie, jak silne są takie uczucia u ludzi i jak...

Minister przerwał mu niecierpliwym ruchem. Chodził po pokoju, ale nie opierał czubków palców jednych na drugich. Skoro był zagniewany i niedyplomatyczny, chował ręce do kieszeni i potrząsał kluczami.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Potargane myśli.

Jeżeli filozofia nie ma być pustą i świadomą swojej próżni sofisterją, musi mieć na dnie to głębokie uczucie, na którem rosną wszystkie wiary... To uczucie, co zarówno drzy w pączku kwiatu jak w duszy człowieka — tęsknotę...

* * *

Nie lękajcie się ukochać jednej myśli, choćby mgła miała wam na inne oczy zasłonić. Na końcu wąwozu o ścianach prostopadłych, jaśniej błyszczy cel podróży.

* * *

Zapomniałem zabrać, czy zgubiłem gdzieś busolę moją. Nie myślałem, że gwiazdy mogą zajść chmurami i nie myślałem, że to morze takie wielkie i że na niem mogą być takie burze... I teraz chciałbym tylko, aby mie fale wyrzuciły ma brzeg. Mniejsza już o to czy z ciałem poranionem, byle tylko serce jeszcze choć troszkę biło...

* * *

Są w waszych czaszkach te same promienie i te same cienie, są harfy te same i te same suche krzaki jerychońskich róż co u mnie... Tylko, mnie to boli wszystko. I dlatego żyję, dlatego kwitnie i gra mi w duszy.

* * *

I jeszcze jest jedna różnica. Wam trzeba wodospadu Niagary aby młyn życia zaczął się obracać; mnie, zapalonej świecy dość — jak radjometrowi. Co więcej, ja się mogę ogrzać — wspomnieniem światła.

* * *

Rzucić na te szyby dwie któremi świat się do mózgu wciska garść róż, albo pocałunek kochanki — i już minie złe. Chyba, że róże powiędną, a usta — odpadną jak nassana pijawka...

* * *

Wygnano mię z tej krainy gdzie prosto w duszę padają promienie słońca, gdzie prosto z harfy dźwięki padają w duszę. Już się widzieć tych cudów nie spodziewam. Dostaję tylko odbite i wyssane przez zimno i mgłę wrażenia, i pieszczę je i grzeję i polewam łzami i użyźniam tęsknotą. Czasem jeszcze przychodzą do siebie... Ale ileż ginie?

* * *

Interesująca historja zjadania się wzajemnego, czyli dzieje przyrody, byłyby pustą i marną kroniką wojen, gdyby z krwi rozlanej nie wstawały nowe wojska i gdyby właśnie te nowe wojska nie były olbrzymami mającymi w sercu na dnie: zwycięstwo...

* * *

Franciszek Mirandolla.

JÓZEFAT NOWIŃSKI.

WAŁCZAKI

(Nowela).

Ciąg dalszy.

Głos zbliżył się do podsłuchującego, i tu musiał Antek przycupnąć za płotem, bo z ogródka wyszła Franka z fartuszkiem przy oczach.

— A ten — ciągnęła dalej matka, zdążając za płaczącą córką — całkiem inaksza rzecz. U tego będziesz gospodyni całą gębą: ani świekra, ani świekry, brat oddzielony, siostra spłacuna. Że gruntu mało — to i ce? Stryj się zaklina, że u niego na własne oczy pięćset rubli widział. Nim on stary zdechnie, wy jeszcze lepiej od niego z tylim groszem się dorobita...

Zatrzymały się u progu.

— Bez dwa lataśma się kochali i tera zara...

I przycichająca już Franka znowu zaczęła płakać.

— Z tamtymeśta się kochali, po bożemu, a z tym będzieta się kochali, jak Pan Bóg przykazał...

Tu drzwi do izby się otwarły, i zagrzmiał głos sołtysa:

— A nie pójdzieta wy dziś wieczerzać? Jeszcześ jej nie przeperswadowała? Ot poczekajta, niechno złapię bata, to ją zarazicki przeperswaduję!

Podsłuchujący, jak gdyby to na niego właśnie bat złapać miano, na czworakach niemal dostał się do kępki brzóz na drugą stronę drogi, przeleciał wysoką trawą porosły zagajnik, spuścił się na dno parowu i dopiero tu, przysiadłszy z bijącem sercem i tłumiąc oddech, zaczął nasłuchiwać: nikt go nie gonił. Tylko wciąż wzmagająca się morka szumiała liśćmi rosnących po obu stronach parowu brzóz i leszczyny.

— Z tamtymeśta kochali się po bożemu, a z tym będzieta się kochali, jak Pan Bóg przykazał — zabrzmiały mu z przedziwną dokładnością słowa sołtysowej.

— Jak Pan Bóg przykazał! — wymówił on głośno, zrywając się i znów siadając.

Włosy zdawały mu się powstawać na drętwiejącej skórze czaszki. Oni będą się kochali, jak Pan Bóg przykazał!

Jakaś mieszanina szalonego wstrętu i nienawiści bezrozumnej, sam dobrze nie wiedział do kogo — nagle zalała mu duszę. Namiętne sny i marzenia stały się przed oczyma jego rzeczywistością — z Wickiem w roli bohatera. Z piersi wyrwał mu się jęk chrapliwy i, jak zwierz raniony śmier-

telnie, zaczął się on tarzać po mokrej trawie, gryząc do krwi własne pięści.

— Jak Pan Bóg przykazał! — zdawały się szumieć dokoła drzewa i krzaki.

Trzask złamanej naciskiem wichru suchej gałęzi nad parowem, przywrócił mu przytomność: zerwał się odrazu, znów nasłuchując. Nie było nikogo. Po chwili usiadł znowu i, otoczywszy rękami kolana, zaczął rozmyślać.

Za co on taki nieszczęśliwy? Czem tak Boga obraził, czy ludzi ukrzywdził? Czemu ojciec jest dla niego taki niedobry? Jedno jego słowo, i cała zgryzota w radośćby się zmieniła. Ale *on*, ojciec, nie rzeknie tego słowa, on chce koniecznie zmarnować syna...

I powoli cały ów wstręt i nienawiść Antka skierowały się przeciw ojcu.

On, on wszystkiemu winien. Wszystkie jednolatki z Antkiem we wsi i w okolicy dawno już są gospodarzami, kto do wojska nie poszedł, a jego tylko ojciec wiecznym parobkiem przy sobie trzyma. I teraz przez niego, tylko przez niego — Franka będzie się z Wickiem kochała, jak Pan Bóg przykazał. Nie, to do niczego nie podobne! Dziś jeszcze trzeba powiedzieć ojcu słowo prawdy. Nawet Franka nie chce mieszkać przy nim, i matkę zamęczył... Prawda to, że sobie tylko nic nie żałuje: ile to pieniędzy na samo piwo idzie! A synowi to chyba tylko złego słowa nie poskąpi; bez klęcia nawet i nie zagada. Ale niechby sobie chlał piwsko, ile chce, niech traci grosz, na co mu wola, niech się sam cieszy swoim majątkiem, niech się nawet żeni z mendlem Szczurzyn naraz, byleby się z synem obrachował — choć jak z obcym, z najmitą — za tyle lat pracy koło jego gospodarstwa. Ale co tam! Toć on odbiera mu nawet za domem zarobioną krwawicę. Niech odda, co się Antkowi należy, i niech go tam... z jego bogactwem! Bogiem a prawdą praca Antka zapłaciła za ten grunt pod lasem. Przecież dalej tak być nie może!

I zerwawszy się chłopak poszedł szybko, wijącą się po dnie parowu w stronę Wisły drożyną.

— Wszyćko mu wyłożę, jak się patrzy, wszyćko... zara... Co po odkładaniu? Czego się ta mam bojać, powiem wszyćko i kuniec! O!..

Czy morka, wiatr przejmujący, ostudził niebawem po wyjściu z parowu na górę zapał Antka, czy może sam widok zdala domu ojcowskiego zachwiał jego pewność siebie, dość, że stopniowo i krok jego zwolniał, i gestykulacja stawała się mniej gwałtowną, i monologi ciehły.

W chacie Walczaka jeszcze się świeciło.

— Nie śpi — rozmyślał Antek, ale ze strachem. Radby już on był odłożyć do jutra tę rozmowę stanowczą — naturalnie, gdyby ojciec spał. Ale on nie śpi napewno.

I Antek przygotowywał w myśli swoją do niego przemowę, powtarzał w pamięci zdania, ale już samo złowrogie jakieś skrzypnięcie wrót splątało odrazu wszystkie jego groźnie-przekonywająco-wzruszające frazesy.

— Niechże tatulo tylo sobie pomiarkują, czy to je do czego podobne — powtarzał sobie jednak rozpaczliwie, drzwi otwierając do sieni i zasuwając zasuwę, ale zaraz w progu powitało go pytanie:

— A ty gdzie bobrujesz, wątrobo, po północku?

Frazesy Antka, nie obliczone na taki właśnie początek rozmowy, rozpierzchły się, jak stado wróbli przy wystrzale. Na razie stropił się on zupełnie, po chwili jednak zdobył się na straszliwy wysiłek woli i rzekł, dławiąc się strachem i nie rozumiejąc niemal sam słów własnych.

— Nie, bo to widzi ociec, bo to do niczego nie podobne...

— Co do niczegój nie podobne? — wrzasnął stary, dźwignąwszy się gwałtownie do połowy na łóżku.

Mrowie pobiegło po ciele Antka, i zamiast odpowiedzi, która się w żaden sposób nie nawijała, usiadł, zmięszany doszczętnie, na swojem łóżku i zaczął się rozbierać.

— Ty mi jeszcze pyskować będziesz, frybro zamorska? — tymże tonem ciągnął tymczasem dalej stary. — Ja tu z ciebie forwerc fanaberje wytrzęsę, bestyjniku ty, jucho! A pieniądze gdzie?

Antek miał gotową odpowiedź na to pytanie: „niechno tatulo mnie oddadzą wszyćkie odbierane bez tyle roków pieniądze".

Przefiltrowana jednak przez ściśnięte z przerażenia gardło Antka odpowiedź ta, dla niego samego niespodzianie, zabrzmiała:

— A dyć nie ucieknie. Jutro..

— A ty psie-mięso, wątrobo! — krzyknął, zrywając się zupełnie stary: — To tak się ojcu odpowiada? Czy ja ci, świniakowi głodnemu, pedam, że ci się jutro żreć da? Poczekaj, ja się tu z tobą porachuję...

I zdjął z kołka nad łóżkiem długi rzemień.

— Ano, to ma ociec, kiej się tak wnetki zachciało — znowu, bo odruchowo niemal zawołał Antek, śpiesznie rzucając na stół zarobek tygodniowy; owinięte w papierki drobne brzękły głucho.

— A to cię kto, bydlaku, uczył ojcu, jak psu, ciskać?.. Wstań, podlecu, i połóż, jak się przynależy!

W Antku odbywała się widocznie walka wewnętrzna.

— Słyszysz? — wrzasnął stary, idąc ku niemu z rzemieniem w ręce.

Jak lew, co skacze w obręcz na rozkaz pogromcy, tak i Antek, chociaż i wzruszając ramionami, podszedł do stołu, wziął w rękę rzucone pieniądze i położył je ostrożnie na toż samo miejsce.

— A wieleś to, złodzieju, dziś ukradł? — zabierając się do liczenia, zapytał stary syna, który osłupiał poprostu ze zdziwienia i strachu: — A, psiaduszo! Kiedy ci butów trza było, jakeś to się klął, że wszystko ojcu oddawać będziesz. I jeszcze go odpust korci. Do bożnicy tobie, a nie do kościoła, złodzieju ty zacieczony!

— Kto złodziej? Jaki złodziej?

— Głupiego mi tu jeszcze będziesz udawał, czy co? — znowu podnosząc głos i potrząsając rzemieniem, krzyknął stary. — Gdzie reszta, 60 kop.?

— Jakie 60 kop.? Skąd znów 60 kop.? — silił się na udawanie zdumienia Antek.

— Myślisz, wątrobo, nasienie ty złodziejskie, co się twoje psie kawałki ukryją? Ani przed Bogiem, ani przedemną... Jaworski mi tu wszystko o tobie wyśpiewał.

„To Jaworski się wygadał!" — zrozumiał nareszcie przerażony Antek i wsunął już był nawet rękę do kieszeni, gdzie miał cały papierek oszczędności. Żebyż to były drobne, możeby i oddał był żądaną sumę, ale całego rubla? Nie, to niepodobna, wszak jutro odpust. Nie wyobrażał on sobie, czy i jak będzie można ofiarować France ową książkę do nabożeństwa, tylko plan ten zrósł się poprostu z jego mózgiem.

— Przyśniło się ojcu chyba abo co? Żadnych tam 60 kop. nie mam!.. — odburknął po raz pierwszy w życiu tak opryskliwie.

Jednocześnie przeleciał mu przez głowę szereg myśli: „Jutro do spowiedzi mam iść — i łżę... Ale przecie nie 60

kop. mam, ino rubla i to własnego — i do tego na książkę do nabożeństwa; dyć nie grzech je książkę nabożną kupić".

Ale argumenta te nie zdążyły jeszcze wywrzeć swego działania uspakajającego na sumienie, jak już stary oprzytomniał ze zdumienia, w jakie go wprawiła bezprzykładna śmiałość syna, i wpadł na niego, jak burza.

— No! — groźnie zaryczał Antek przy pierwszem uderzeniu, usiłując złapać koniec rzemienia: — czego mnie ociec bije?

— Masz za „no!", masz za „czego mnie ociec bije!" — dogadywał stary, pracując rzemieniem bez odpoczynku.

Chłostał, nie patrząc po czem, zaciekle i zapamiętale, jakgdyby samemu sobie chciał dać dowód panowania nad pogromionym dzikim zwierzem, a Antek, wijąc się już tylko lub ręką zakrywając, próbował uniknąć ciosów. W jego „no", „czego", „za co", „e-e-e", „co znowu", było coraz mniej gniewu i groźby, a coraz więcej bólu i prośby. Wreszcie rzemień uderzył w próżnię: Antek umknął się na środek izby. Ojciec ruszył wnet ku niemu, ale chłopak jednym skokiem rzucił się ku drzwiom, wyskoczył do sieni i, gnany krokami ojca, szarpnął zasuwę i wypadł na podwórze.

— To nocujże se, cholero, na dworze, abo idź do swojej...

Tu zatrzasnął stary drzwi, głusząc resztę własnych słów, i zasuwa znów stuknęła. Przez szyby widział Antek, jak ojciec wszedł do izby, rzemień powiesił na miejscu, przeżegnał się pobożnie, zbliżył się do małej wiszącej na ścianie lampki, i światło zagasło.

Wiatr wzmagał się co chwila, i Antek — bosy i bez kurtki — niebawem uczuł chłód dojmujący.

— Djabli nadali tego głupiego sołtysa! — przyszło mu do głowy.

Oczywiście trzeba było znaleść winnego całej tej biedy, a ojciec tak dokumentnie udowodnił swoje prawa ojcowskie, że trudno się było na niego z sądem porywać. To też w Antku coraz bardziej wzbierała złość na Jaworskiego.

— A bodaj cię djabli!.. Ozór u głupiego, jak u baby. Niech już ociec, ale czego on tyle mi naklął, nazemstował?.. A jeszcze sam cały jenteres popsuł... I co się tak stawia? Dałby mi Frankę i przez niczegój, a już jabym mu pokazał. I na kumornem głoduby nie marła. Na grunt ino gębę rozdziawia.. Bodajeś się nim udławił!

Tymczasem zęby zaczęły mu stukać, jak kastaniety. Spróbował obudzić w sobie bunt przeciw ojcu.

— I co też oni wymyślili znowuj? To ja mam z Burkiem w budzie, czy co? Tfu, 3 rs. 90 kop. oddałem co ino, i za to mi się nawet nocleg ludzki nie należy? A choroba!...

(Ciąg dalszy nastąpi).

Wiadomości artystyczne i literackie.

W Petersburgu otwarto nową wystawę sztuki p. n.: Muzeum im. Aleksandra III. Znajduje się na niej wiele bardzo obrazów artystów polskich, między innymi: Henryka Siemiradzkiego („Sodoma i Gomora", „Chrystus" „Fryne") P. Welońskiego, Kotarbińskiego, i w. i.

W „Przeglądzie literackim", który przeszedł z dniem 1. bm. na wyłączną własność p. K. Bartoszewicza (dotychczas był to organ „Związku lit.") zamieszcza redaktor tego pisma ciekawą bardzo korespondencję J. I. Kraszewskiego z różnemi współczesnemi osobami świata literackiego i wydawniczego. Dużo jest w tych listach nowego materjału do charakterystyki autora „Miodu kasztelańskiego".

O wystawie secesjonistów (malarzy) wiedeńskich, wyrażają się dzienniki tamtejsze z wielkiem uznaniem. Z polaków biorą w tej wystawie udział Wyczółkowski i Mehoffer.

Teatr krakowski urządza w przyszłym tygodniu przedstawienie ku uczczeniu 70-letniej rocznicy urodzin Ibsena. Daną będzie „Dzika kaczka" z p. Teklą Trapszo.

P. L. Rizner podaje w miesięczniku „Slovenske pohlady" bibljografję wszystkich przekładów z literatur słowiańskich na język słowacki.

W „Literackich Listach" znajdujemy sprawozdanie p. Krivego ze studjów P. Chmielowskiego p. t.: „Nasza literatura dramatyczna".

W Kijowie koncertowali w ostatnich tygodniach: Śliwiński, Barcewicz, Michałowski i Huberman.

Znakomita artystka dramatyczna teatru „Rozmaitości" w Warszawie p. baronowa Lüde występuje gościnnie na scenie poznańskiej.

Teatr narodowy w Pradze przyjął do wystawienia „Goplanę" Wł. Żeleńskiego.

W Kijowskiem Tow. lit.-artystycznem odbył się wieczór Mickiewiczowski. Uroczystość wypadła pod każdym względem świetnie.

Michał Bałucki napisał nową jednoaktówkę pt. „W teatrze".

Prof. Kallenbach we Fryburgu wydał nowe studjum literackie pt. „Tło obrzędowe w Dziadach",